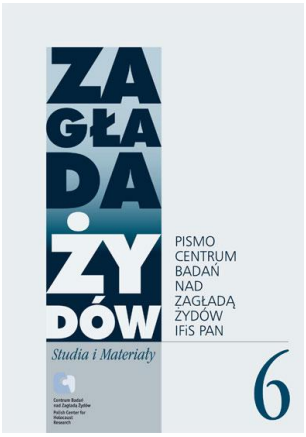


Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 6 (2010)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Świadek

Stanisław Obirek

redakcja@holocaustresearch.pl

DOI: https://doi.org/10.32927/zzsim.732
Strony/Pages: 297-302

CC BY

OPEN ACCESS

Świadek

Primo Levi, *Rozejm*, przeł. Krzysztof Żaboklicki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009

Książki Primo Leviego należą do klasyki literatury obozowej, lecz także – co mniej oczywiste – jest on jednym z najwybitniejszych myślicieli zajmujących się tzw. syndromem poobozowym. To prawda, że obok *Pożegnania z Marią* Tadeusza Borowskiego, *Nocy* Elie Wiesela czy *Losu utraconego* Imre Kertésza właśnie *Czy to jest człowiek* Primo Leviego wyznacza kierunek naszego myślenia o niepojętej rzeczywistości obozów koncentracyjnych. Natomiast jego ostatnia książka – *Pogrążeni i ocaleni* (opublikowana po włosku w 1986 roku, a po polsku wydana w 2007) – stanowi najbardziej wnikliwą analizę konsekwencji doświadczenia Auschwitz. Levi nie poprzestał na opisie obozowego koszmaru, lecz nakreślił swoiste uniwersum obozowe, do którego włączył również rzeczywistość łagrów sowieckich. Nade wszystko zaś, antycypując wiele dzisiejszych debat, postawił problem pamięci, i to dotyczący zarówno tych, którzy przeżyli koszmar obozowy, jak i katów. Dla tych pierwszych owa pamięć oznaczała przekleństwo na całe życie, dla drugich zaś – bodziec przemyślnych strategii wymazywania. W rozmowie z Ferdinandem Camonem Levi powiedział, że choć miał już uniwersytet za sobą, to „prawdziwym uniwersytetem był Oświęcim. Mam wrażenie, że jakoś się tam wzbogaciłem wewnętrznie”[1]. Oznaczało to również ostateczne rozstanie się z istnieniem Boga: „Skoro jest Oświęcim, to nie może być Boga”[2]. Przeżycie obozu koncentracyjnego nie zamknęło kręgu obozowych doświadczeń. Wyzwolenie obozu przez Armię Czerwoną 27 stycznia 1945 r. oznaczało dla pozostałych przy życiu więźniów długą wędrówkę do rodzinnych stron. Primo Levi przekroczył próg rodzinnego domu w Turynie 19 października tego roku. Co się z nim działo, po wyzwoleniu opisał w *Rozejmie*.

By wrócić do tych wspomnień, potrzebował czasu. Kreślił je prawie rok, od grudnia 1961 do listopada 1962. Książka ukazała się w 1963 r. pod tytułem *La tregua*. Polski tytuł – *Rozejm* – nie do końca oddaje sens włoskiego oryginału, może „Zawieszenie broni” byłoby bliższe sensu zamyślonego przez autora. Trzeba wspomnieć przy tym, że droga do rynków wydawniczych była w przypadku Leviego długa i wyboista. Włoski wydawca wiele lat się zastanawiał, czy w ogóle warto wydać *Czy to jest człowiek*. Książka nazbyt odbiegała od zapotrzebowania na heroiczną wykładnię przeszłości. Więzień obozowy żydowskiego pochodzenia nie spełniał

[1] F. Camon, *Rozmowa z Primo Levim*, przeł. E. Kabatz, Oświęcim 1997, s. 54.
[2] *Ibidem*, s. 62.

oczekiwań stawianych męczennikom ruchu oporu (którym zresztą Primo Levi był), jego historia wydawała się zbyt „banalna".

Dzięki takim książkom jak *Powojnie. Historia Europy po roku 1945* Tony'ego Judta czy *Kryzys społeczny, antysemityzm, narodowy socjalizm* Wernera Jochmanna wiemy o tym czasie znacznie więcej niż w chwili ukazywania się *Rozejmu*. I może dlatego właśnie jesteśmy lepiej przygotowani do tej lektury. Tak więc nie zawsze opóźnienie w przekładach jest niekorzystne dla książek. Levi dość szczegółowo opisał, co się z nim działo później, po wyzwoleniu. Tak – co się z nim działo, bo wpływu na toczące się wydarzenia właściwie nie miał. A działo się dużo, i to głównie w Polsce i w zachodnich republikach ZSRR, określanych przez niego jako Rosja. Po przekroczeniu granicy ukraińsko-rumuńskiej wydarzenia potoczyły się szybko. Choć oryginał włoski ukazał się – jak wspomniałem – w 1963 r., książka zachowuje charakter nieomal reportażowy. Wydarzenia stają nam przed oczyma z siłą filmowego zapisu. Wzbogaceni historiografią holokaustową, potrafimy lepiej docenić zapisy świadka tamtych wydarzeń.

Primo Levi nie był pisarzem zawodowym. Był chemikiem. Pisarzem stał się za sprawą obozowych przeżyć. Jego pierwsza książka *Czy to jest człowiek* poraża chłodnym realizmem, w *Rozejmie* znajdujemy przenikliwe opisy ludzkich charakterów – ich słabości, śmieszności, ale też paraliżującej niemożności zapomnienia o straszliwej przeszłości. Najwięcej w tych opisach ludzi bezpośrednio związanych z poobozową tułaczką, a więc głównie Włochów, choć nie brak również przypadkowych spotkań z Polakami, Grekami i obywatelami Związku Sowieckiego, których Levi nazywa po prostu Rosjanami. Zresztą Włosi wcale nie stanowią grupy monolitycznej, wprost przeciwnie – każdy z towarzyszy podróży to mikrokosmos zasługujący na oddzielną opowieść. Każde zdarzenie zaś opatrzone jest odautorskim komentarzem (a więc jednak nie zapis dziennikowy, raczej retrospektywna refleksja).

Zacznijmy od końca. „Wyjechało nas sześćset pięćdziesiąt osób, wracaliśmy we trzech. Ile przez te dwadzieścia miesięcy straciliśmy? Co zastaniemy w domu? Ile w nas samych wykruszyło się, zgasło? Wracaliśmy bogatsi czy biedniejsi, silniejsi czy puści wewnątrz? Nie wiedzieliśmy tego. Wiedzieliśmy jednak, że na progu naszych domów czeka nas próba i myśleliśmy o niej z obawą. Czuliśmy, że w naszych żyłach wraz z rozcieńczoną krwią płynie trucizna Auschwitz" (s. 306). O tej truciźnie przenikliwie pisał przez laty krakowski psychiatra Antoni Kępiński[3], a stworzony przez niego zespół niemal od początku prowadził badania nad tzw. syndromem oświęcimskim. Maria Orwid, która po śmierci Kępińskiego kierowała tymi badaniami, opisała je w szerszym kontekście, nie pomijając swego własnego życiowego doświadczenia Żydówki uratowanej na aryjskiej stronie[4]. Orwid nawiązała do tych

[3] A. Kępiński, *Refleksje oświęcimskie*, Kraków 2005.

[4] M. Orwid, *Przeżyć… i co dalej? Rozmawiają Katarzyna Zimmerer i Krzysztof Szwajca*, Kraków 2006.

badań w wydanej już pośmiertnie *Traumie*, w której pokazała również pozytywny wymiar tamtych doświadczeń[5].

Równie trudny optymizm wyłania się ze wspomnień Leviego, który u kresu tułaczki, zbliżając się do rodzinnego miasta, kreśli stan psychiczny ocalałych: „Czuliśmy się wiekowymi starcami przytłoczonymi rokiem okrutnych wspomnień, pustymi wewnątrz, bezbronnymi. Jakże trudne miesiące, które właśnie minęły, miesiące włóczęgi na obrzeżach cywilizacji, wydawały nam się teraz okresem rozejmu, przerwą obfitującą w nieograniczone możliwości, opatrznościowym, lecz niepowtarzalnym darem losu" (s. 307). Najbardziej zdumiewająca w całej książce jest scena powrotu do domu, do domu, w którym nikt nie czeka na powracającego: „Przyjechałem do Turynu dziewiętnastego października po trzydziestu pięciu dniach podróży. Dom stał, wszyscy członkowie rodziny żyli, nikt na mnie nie czekał. Byłem spuchnięty, zarośnięty i obdarty, z trudem mnie rozpoznawano. Odnalazłem przyjaciół pełnych życia, ciepło zastawionego stołu, konkretność codziennej pracy, wyzwalającą radość opowiadania" (s. 308). Tej opowieści jednak nikt nie chciał słuchać.

A jednak Primo Levi nie poddał się, nie zraził murem obojętności i niechęci i po latach zaczął snuć opowieść. Pewnie myślał, że tylko dla siebie, dla uratowania pamięci o tych, którym nie dane było przeżyć. Dziś wiemy, że również dla nas, którym tamte doświadczenia było oszczędzone. Wróćmy więc do chwili wyzwolenia Auschwitz: „Tak więc nawet godzina wolności wybiła dla nas w nastroju powagi i skupienia, napełniając nasze dusze radością i bolesnym uczuciem wstydu zarazem; pragnęliśmy bowiem oczyścić sumienia i pozbyć się przynoszących ujmę wspomnień, lecz cierpieliśmy, wiedząc, że to niemożliwe, że nie zdarzy się nam już nigdy nic tak dobrego i czystego, co byłoby w stanie zatrzeć naszą przeszłość i że ślady poniżeń pozostaną w nas na zawsze: w pamięci świadków, w miejscach, gdzie do nich doszło, w naszych własnych o nich opowiadaniach" (s. 9). W tym krótkim fragmencie pojawiają się pojęcia kluczowe dla zrozumienia syndromu obozowego, w którym najbardziej tajemnicze jest poczucie wstydu tych, którzy przeżyli. Pamiętam spotkanie grupy polsko-izraelskich psychiatrów, w czasie którego właśnie z ust jednego z uczestników padły dokładnie te słowa: poczucie wstydu, że się przeżyło. Zapytałem wspomnianą Marię Orwid, która to spotkanie prowadziła, o co tutaj chodzi, przecież powinni się cieszyć, że przeżyli. Z krótkiego wywodu Marii zrozumiałem, że niczego nie rozumiem. I że to zrozumienie nie będzie mi dane.

Chłodna, obfitująca w porażające szczegóły narracja Leviego przypomina, że moment wyzwolenia oznaczał dla większości „häftlingów" nie tylko koniec obozowej katorgi, ale również szybką śmierć. Tylko nieliczni przeżyli. On sam potrzebował miesiąca, by w ogóle wstać z łóżka: „Pod koniec lutego, po miesiącu spędzonym w łóżku, poczułem się już trochę lepiej, choć jeszcze nie wyleczony. Miałem przeświadczenie, że dopóki nie przybiorę znowu – nawet kosztem wielkiego wysiłku – pozycji pionowej i nie włożę na nogi butów, nie odzyskam sił ani zdrowia" (s. 37). Opuszczając obóz, mógł wiele zobaczyć, także i to, jak jest przyjmowany

[5] M. Orwid, *Trauma*, Kraków 2009.

w świecie poza drutami. Ot, choćby polski adwokat, który tłumacząc ciekawskim wieśniakom, kim on jest, lekko modyfikował jego opowieść, z której znikło słowo Żyd, a pojawiło się określenie „więzień polityczny". Na zdziwienie Leviego odpowiedział krótko: wojna się nie skończyła. Sam Levi pozostał ze swoim zdziwieniem, my dziwimy się razem z nim. Czyżby i Żydzi mieli z nią jakiś związek, który był oczywisty dla adwokata znającego swoich pobratymców, a niejasny dla wyzwolonego z obozu włoskiego Żyda? (s. 69–70).

W narracji *Rozejmu* sporo miejsca zajmują opisy żołnierzy radzieckich. Mimo doświadczanych niedogodności podczas przedłużających się pobytów w tymczasowych obozach czy w trakcie naznaczonych niewiadomą podróży kolejowych, Levi darzy ich wyraźną sympatią i nie szczędzi ciepłych uwag pod ich adresem: „Pod niedbałą i anarchizująca powierzchownością łatwo było jednak dostrzec w nich, w każdej z tych surowych, otwartych twarzy, dobrych żołnierzy Armii Czerwonej, dzielnych obrońców Rosji dawnej i nowej, łagodnych w pokoju i strasznych na wojnie, silnych wewnętrzną dyscypliną, zrodzoną ze zgody, ze wzajemnej miłości i z miłości ojczyzny; dyscypliną mocniejszą – właśnie dlatego, że wewnętrzną – od mechanicznej i służalczej dyscypliny niemieckiej. Żyjąc wśród Rosjan, nietrudno było zrozumieć, dlaczego ich dyscyplina zatriumfowała wreszcie nad tą ostatnią" (s. 77). W tej krótkiej charakterystyce odczytujemy i wdzięczność za wyzwolenie, i dystans wobec ideologicznych sporów. Przywodzi na myśl styl wielkiego epika XX wieku, a zwłaszcza II wojny światowej, Wasilija Grossmana, skazanego przez sowiecki reżim na długie lata milczenia[6]. Tak jak u Grossmana, nie ma u Leviego rozrachunku ideologicznego, jest natomiast opis losu ludzkiego, który z trudem przeciska się przez tryby historii.

Najbliżsi towarzysze poobozowego życia, Grek Mordo Nahum i Włoch Cesare, zostali odmalowani z niezwykłą dokładnością i znawstwem ludzkiej psychiki. Już nie ramy machiny obozowej wyznaczały ludzkie losy, teraz kreatywność stawała się najcenniejszym kapitałem pozwalającym kształtować rzeczywistość. Osobiste cechy stanowiły o jakości życia, o sposobie radzenia sobie zarówno z przeciwnościami losu, jak i z nadzwyczajnymi okazjami. One też stanowiły kryterium oceny: „Cesare był pełen ludzkiego ciepła, pełen zawsze, w każdej godzinie swojego życia, nie tylko poza godzinami pracy jak Mordo Nahum. Dla Cesare praca stanowiła przykrą konieczność, mogła też dać mu okazję do zabawnych spotkań: nie była nigdy zimną obsesją ani szatańską afirmacją własnego »ja«. Cesare był człowiekiem wolnym, Mordo Nahum – niewolnikiem samego siebie; pierwszy był kapryśnym rozrzutnikiem, drugi – rozsądnym skąpcem. Grek był samotnym wilkiem w wiecznej wojnie ze wszystkimi, przedwcześnie postarzałym, zamkniętym w kręgu smutnej ambicji. Cesare był synem słońca, przyjacielem całego świata nie znającym nienawiści i pogardy" (s. 108). Takich iście homeryckich epitetów Primo Levi nie szczędzi swym przygodnie spotykanym bohaterom. Czujemy, że nie są to określenia na wyrost, wszak oddają ze skrupulatnością istotę człowieka, wielkiego w zdolności

[6] W. Grossman, *Życie i los*, przeł. J. Czech, Warszawa 2009.

do poświęcenia i wyrzeczeń, a małego w nieposkromionej potrzebie panowania nad innym.

„Nadszedł 8 maja – dzień szalonej uciechy dla Rosjan, nieufnego czuwania dla Polaków, dla nas dzień radości zabarwionej głęboką tęsknotą" (s. 123). To zdanie mówi więcej o przenikliwości autora *Rozejmu* niż setki książek opisujących bezwarunkową kapitulację hitlerowskich Niemiec. Spotkani przypadkowo niedoszli panowie świata, teraz wojenni jeńcy, budzą w Levim raczej zadumę nad znikomością ludzkiej ambicji niż satysfakcję z widoku niedawnych ciemiężycieli: „Twarze wychudłe, zmartwiałe, dzikie; przyzwyczajeni żyć, działać i walczyć ujęci w żelazne schematy władzy, ich podpory i pokarm, stali się bezsilni i bezradni w chwili, gdy tej władzy zabrakło. Ci dobrzy poddani, dobrzy wykonawcy wszelkich rozkazów, dobre narzędzia władzy, sami nie posiadali najmniejszej nawet jej cząsteczki. Mieli wewnątrz pustkę, byli bezwładni jak suche liście, które wiatr gromadzi w odosobnionych kątach. Nie szukali ratunku w ucieczce" (s. 170). Niektórzy z nich przeżyli. Spotykałem takich w Niemczech w latach osiemdziesiątych, byli wśród nich zakonnicy. Niechętnie opowiadali o latach spędzonych w niewoli rosyjskiej, a jeśli – to wspominali te lata jak horror[7], główną odpowiedzialność za swoje cierpienia przypisując naturalnie barbarzyńskim Rosjanom.

Z przejściowego obozu w Katowicach grupa kilkuset Włochów – byłych więźniów Auschwitz – została skierowana do Odessy, skąd statkiem mieli odpłynąć do swojego kraju. Stało się inaczej. Zamiast do Odessy, pociąg został z Przemyśla skierowany na północ w kierunku Mińska (na stronach 288–289 zamieszczono szczegółową mapę z zaznaczeniem krętej trasy pociągu). Relacja z ciągnącej się w nieskończoność podróży po sowieckich republikach obfituje również w epizody niepozbawione humoru, a nawet prawdziwego komizmu, jak chociażby przezabawna wymiana talerzy na kurę w zapadłej w środku lasu wsi (s. 178–193). To prawdziwe arcydzieło etnologicznego opisu wymiany towarowej obywającej się bez znajomości języka. Z kilkunastu nieprzewidzianych, acz przymusowych postojów Levi wywiózł obraz przyrody wschodnioeuropejskich lasów, które napawały go podziwem i lękiem. Najbardziej interesowali go jednak spotykani ludzie. Szczególnie wiele dowiadujemy się o mieszkańcach Starych Dróg, najbardziej na północ wysuniętej wsi białoruskiej, w pobliżu Mińska. To właśnie tam dochodziło do ciekawych spotkań. Dwumiesięczny pobyt w Starych Drogach, od piętnastego lipca do piętnastego września 1945 r., był wyraźnie fascynującym czasem. Ale przecież nie tylko do wzbogacających doświadczeń tam dochodziło. Auschwitz objawiał swoje groźne oblicze w nieoczekiwanych spotkaniach z dawnymi towarzyszami niedoli, jak chociażby z Florą: „Z litości dla niej i dla siebie samego nie dałem się jej rozpoznać.

[7] Por. A. Leugers, *Jesuiten in Hitlers Wehrmacht: Kriegslegitimation und Kriegserfahrung; mit 66 bisher unveröffentlichten Dokumenten*, Paderborn 2009. Autorka podaje, że w Wehrmachcie służyło prawie trzystu jezuitów, którzy z przekonaniem szli na Wschód, by walczyć z zagrożeniem komunistycznym. Zapewne podobne badania można kontynuować na przykładzie innych zakonów katolickich, jak też duchownych różnych wyznań protestanckich.

Wobec takich widm, wobec mnie samego w Bunie, wobec kobiety ze wspomnień i jej nowego wcielenia czułem się zmieniony, całkowicie inny, jak motyl wobec gąsienicy. W otchłani Starych Dróg czułem się brudny, obdarty, zmęczony, ociężały, wyczerpany oczekiwaniem – a przecież młody, obdarzony zasobem możliwości, zwrócony w przyszłość" (s. 238). A więc nie do końca miał rację Antoni Kępiński, gdy pisał o tym, że doświadczenia obozowe, a więc swoista inicjacja w granice ludzkich możliwości, stwarzały szczególne więzi: „Ci, co przeszli obóz, próbę tę wytrzymali, stąd bierze się ich poczucie wyobcowania w stosunku do zwykłych ludzi i szukanie grup odniesienia wyłącznie wśród byłych więźniów, gdyż ci tylko potrafią ich zrozumieć"[8]. Jak zdaje się sugerować Levi, bywało też odwrotnie – wspólnie przeżyte upokorzenie nie sprzyjało potem obcowaniu ze sobą...

Tymczasem wspomnienia obozowe zostały skutecznie przyprószone nowymi obrazami, tym razem pozytywnymi. Stanęły one żywo przed tułaczami, gdy chwila rozstania okazała się nieodwołalna: „Kiedy wyjazd był już pewny, zauważyliśmy z dziwnym dla nas samych zdumieniem, że ta bezkresna ziemia, te pola i lasy – świadkowie bitew, którym zawdzięczaliśmy zbawienie, te nienaruszone, pierwotne krajobrazy, ci pełni wigoru, kochający życie ludzie zamieszkali w naszych sercach, przeniknęli w nas i mieli pozostać tam długo jako chlubny, czysty obraz jedynego okresu w naszej egzystencji" (s. 263). I tak właściwie można by zakończyć ten tułaczy szlak Primo Leviego i jego włoskich towarzyszy i towarzyszek niedoli. A jednak chcę przywołać jeszcze jeden obraz, tym razem zniszczonego Wiednia, jak wiadomo miasta szczególnie zasłużonego w gorliwym spełnianiu chorobliwych fantazmatów antysemickiej Rzeszy niemieckiej. Warto przywołać znaną anegdotę mówiącą o szczególnym podejściu Austriaków do historii. Otóż udało im się przekonać świat, że niemiecki kompozytor Ludwig van Beethoven jest Austriakiem, a austriacki twórca *Endlösung*, Adolf Hitler – uosobieniem niemieckości. W każdym razie to właśnie stolica Austrii dostarczyła Leviemu okazji do zadumy nad paradoksem historii: „Nie ucieszył nas bynajmniej widok zburzonego Wiednia i pokonanych Niemców. Wręcz przeciwnie, wzbudził on w nas przykrość – nie współczucie, ale przykrość sięgającą daleko, zalewającą naszą własną nędzę, z męczącą, przygnębiającą świadomością zła nieuleczalnego i ostatecznego, obecnego wszędzie, gnieżdżącego się jak gangrena we wnętrznościach Europy i świata, zarodka przyszłych klęsk" (s. 299). I tak już zostanie. Levi z podobnym uczuciem lęku i niemożności podzielenia się własnym przerażeniem będzie obserwował Monachium – jedną z twierdz hitleryzmu, zaludnioną mieszkańcami, którzy niechętnie konfrontują się z własną historią. Z lękiem dojedzie do Turynu, gdzie najbliżsi bez entuzjazmu wsłuchiwać się będą w jego nieludzką opowieść. Tak jest i dzisiaj.

Również my w Polsce niechętnie słuchamy opowieści tych, którzy ocaleli. Lektura *Rozejmu* może nam pomóc przezwyciężyć inercję i wsłuchać się uważniej w racje tych, którzy nie tylko przeżyli, ale też zostawili ślad swojego ocalenia.

Stanisław Obirek

[8] A. Kępiński, *op. cit.*, s. 33.